

Sen o Polsce

AUTOR: JUSTYNA LANDORF

Twórcy *Marzeń polskich* postanowili zdekonstruować dramat Bałuckiego, przekształcając go w rodzaj narodowej baśni odegranej w konwencji pastiszu. Mimo zaangażowania zespołu Starego Teatru spektakl nie ma dramaturgicznego napięcia, a akcja ciągnie się nielitościwie.

■ Amerykański historyk i politolog Benedict Anderson, zbadawszy źródła nacjonalizmu, zdefiniował pojęcie narodu jako „wyobrażoną wspólnotę polityczną”. To wyobrażenie wynika z faktu, iż „członkowie nawet najmniej licznego narodu nigdy nie znają większości swoich rodaków, nie spotykają ich, nic nawet o nich nie wiedzą, a mimo to pielęgnują w umyśle obraz wspólnoty”¹. Definicja ta wpisuje się w spektakl Jędrzeja Piaskowskiego i Huberta Sulimy, opowiadający o polskiej tożsamości, a raczej tęsknocie za wyidealizowaną wersją przeszłości, czy też wyobrażeniem na jej temat.

Marzenia polskie oparte są na dziewiętnastowiecznej komedii *Sąsiedzi* Michała Bałuckiego. Krakowski dramaturg i publicysta w swoim czasie cieszył się ogromną popularnością i należał do najchętniej wystawianych autorów. Pod koniec życia mocno krytykowany za brak ambicji intelektualnych, a także staroświecką formę swoich komedii, złośliwie został nazwany „Arystofanem kleparskim” uprawiającym „dziarski humor”, a jego utwory określano pogardliwym terminem „bałuczczyna”. Należałoby jednak nadmienić, że głównym wydawcą sztuk Bałuckiego była Biblioteka Teatrów Amatorskich, co może wskazywać, na jakim odbiorcy zależało autorowi. W jednej z recenzji Boy-Żeleński zauważył, że na spektaklach komediopisarza widz niewykształcony „śmiał się do rozpuku”, zaś ten „subtelniejszy [...] krzywił się z niesmakiem”². Po tragicznej śmierci Bałuckiego sugerowano, że to właśnie nagonka młodopolskich publicystów pchnęła go do popełnienia samobójstwa (co jednak jest zbytnim uproszczeniem). Pogrzeb odbył się w atmosferze skandalu, przy udziale tłumów krakowian oraz braku udziału

władz kościelnych. O postawienie autorowi pomnika spierano się dziesięć lat. Miał on stanąć przed Teatrem im. Juliusza Słowackiego, w końcu, nieco wstydliwie, wylądował za budynkiem teatru, przy Plantach.

Fabula komedii Bałuckiego jest niewyszukana: oto żyje sobie właściciel ziemski, niejaki pan Radoszewski, niewymownie pocziwy i nieśmiertelnie wyzyskiwany przez swoich sąsiadów. Panowie szlachta w każdej chwili mogą liczyć z jego strony nie tylko na bezzwrotną pożyczkę, lecz także na staropolską gościnę. W związku z tym jego majątek jest zagrożony, siostra prowadząca gospodarstwo załamana niefrasobliwością brata, a na dodatek szykują się wybory i ktoś wpada na pomysł, aby niezbyt lotny – mówiąc delikatnie – Radoszewski wziął w nich udział. Na szczęście jest jeszcze córka Stasia, która zakochuje się z wzajemnością w kształconym za granicą Adamie Wilskim. Szlachetny i dobrze sytuowany młodzieniec uratuje rodzinę niedoszłego posła, wykupując jego dług. Muzyka i śpiew.

Twórcy postanowili zdekonstruować opowieść Bałuckiego, przekształcając ją w rodzaj narodowej baśni odegranej w konwencji pastiszu. Scenografia (Anna Maria Karczmarska i Mikołaj Małek) przypomina nieco tę pokazowaną w cyklu *Bajek Pana Perrault* w telewizyjnej serii z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. O ile tam ilustracje znakomitego grafika i plakacisty Waldemara Świerzego miały rzeczywiście pastiszowy charakter, tu mamy do czynienia z nadmiarem i chaosem. Na ściankach królują wykonturowane arabeski, z góry zwisają dyskotekowa kula i pałacowy żyrandol, z boku sterczy ogromny waflowy rożek z wypadającymi kulkami lodów, a na sce-

nie mnożą się różnej wielkości muchomory (w niedawnej inscenizacji Krzysztofa Garbaczewskiego grzyby też były głównym elementem scenografii). Do znaczących nazwisk i charakterystycznych typów postaci występujących u Bałuckiego w sztuce dodano „znaczące” kostiumy – i tak pieczeniarski Gębaliński (Rafał Jędrzejczyk) ma wszyte w kontusz pierogi, oszczędny Protasiewicz (bardzo dziwnie wyglądający Jacek Romanowski) wiewiórczy ogon, podłotek Stasia (Natalia Kaja Chmielewska) gigantyczną kokardę we włosach, a safandula Radoszewski (Michał Majnicz) papucie. Wydukowany Wilski (Łukasz Stawarczyk), jako jedyny, ubrany jest nie tylko bez udziwnień, ale i całkowicie współcześnie. Również i tak wypowiada swoje kwestie, jakby przybył z przyszłości i nie mógł nadziwić się panującym stosunkom i zacofanym poglądom miejscowej szlachty.

Twórcy nie przestają mrugać do widza, żeby ten ani przez chwilę nie zapomniał, że mamy do czynienia z groteską, ironią, bajką *à rebours*. Bajką opowiadaną przez matkę podstarza-łemu chłopcu (Beata Paluch i Szymon Czacki w maskach), chcącemu słuchać wyłącznie opowieści ku pokrzepieniu serc. Jeśli nie domyślił się, kim jest ów układający się do snu chłopiec, wystarczy spojrzeć na leżącego na łóżku kota, tuż pod obrazem Naczelnika (swoją drogą mam niejakie wątpliwości, czy akurat wielbicielowi Carla Schmitta przyśniłaby się pocziwa komedyjka Bałuckiego).

Opowiadana bajka zmieni się w pokraczny, straszny (?) sen, z którego chłopiec obudzi się z krzykiem na ustach: „Miałem koszmar! Śniła mi się Polska”. Czy koszmar ten wynika z faktu, że we śnie Polacy jawią się, jako naród pełen róż-

*Morzenia polskie /
Les rêves polonais* na
podstawie *Sqsiadów*
Michała Bałuckiego

scenariusz,
dramaturgia
Hubert Sulima
reżyseria
Jędrzej Piaskowski
scenografia
Anna-Maria
Karczmarska,
Mikołaj Małek
kostiumy
Rafał Domagała
reżyseria świateł
Monika Stolarska
kompozycja
Jacek Sotomski
choreografia
Kasia Sikora

premiera
22 kwietnia 2022

Scena zbiorowa



fot. Magda Hueckel / Narodowy Stary Teatr w Krakowie

norakich przywar, takich jak warcholstwo, ciasnota umysłowa, próżność, lenistwo i pijaństwo? Że zajęci są niezliczonymi biesiadami, życiem ponad stan, prywatnymi wojenkami podjazdowymi? Pretendują do godności poselskiej mimo braku wszelkich kwalifikacji? Utrwalają podziały klasowe oraz stereotypy? Antysemici i mizogini? Czy może koszmarem są queerowe wstawki w rodzaju służącej Magdy granej przez Krzysztofa Stawowego? Lub też naiwna wiara w człowieka, nieopuszczająca dobrodusznego głównego bohatera?

I tak śnimy te polskie sny, zwane światowo i z francuska (znowu przymrużone oko) *les rêves polonais*. A w nich panowie konsumują bigosik, odbijają kolejną beczkę wyśmienitego trunku, oczywiście na koszt gospodarza, toczą „dyskusje polityczne”. Panie zwyczajowo zajęte są robieniem marynat, podawaniem wędlin, smażeniem poziomek i w ogóle usługiwaniem dzielnym panom. Nie szkodzi, że pracują od rana do świtu i to dzięki nim daje się utrzymać w ryzach upadający majątek. I tak są tylko zgorzkniałymi starymi pannami lub naiwnymi gąskami (ale uwaga – Stasia tylko udaje tę gąskę). Są jeszcze łowczynie posagów oraz interesowne megiery zajęte komerażami. Tu *à propos* przestarzałych wyrazów: dlaczego Nacia i Macia (Beata Paluch i Aldona Grochal) podają definicje słów w rodzaju „lupanar”? Czemu ma to służyć (oprócz rozbudowania niewielkich kwestii aktorek)? Czyżby twórcy, niczym krakowski dramaturg, również kierowali swe dzieło do prostego widza? Jeśli odbiorca nie zna znaczenia jakiegoś słowa, to może je sobie sam później sprawdzić, proponuję trochę wiary w naród polski.

Mam też pewien kłopot z przedstawieniem wątku żydowskiego. U Bałuckiego Radoszew-

ski pisze „mowę poselską”, w której bredzi o zalewającej Polskę „fali plugawego żydostwa”, co natychmiast przytomnie koryguje „falą Izraelitów”, aby było „przyzwoiciej”. Zaraz potem zmuszony jest zwrócić się o pomoc (vide: pieniądze) do żydowskiego kupca (Katarzyna Krzanowska). Szmul jest przerażającą postacią, powielającą wszystkie najgorsze stereotypowe wyobrażenia na temat Żydów. Stylizowany na wampira (niczym z filmu Murnaua) – ze skrzeczącym głosem, diabelskimi rogami, pobieloną twarzą i długimi szponami – dobija interesu z „jaśniepanem”, przechytrzając go. W trakcie trwania tej sceny jeden z widzów wstał i dość gwałtownie opuścił teatr. Oczywiście z całą pewnością nie mogę stwierdzić, że oburzył go powyższy wizerunek, ale jest to całkiem prawdopodobne. Niepokojąco antysemickiego wydźwięku nabierze w konsekwencji końcowa scena spektaklu, w której ta sama aktorka zagra postać komornika (kojarzącego się z bezwzględnością i wyzyskiem) odbierającego majątek głównemu bohaterowi.

Michał Bałucki nie miał ambicji psychologa – nie potrafił, czy może nie chciał budować charakterów i zadowalał się kreowaniem typów. Jego komedie podporządkowane były bez reszty dydaktyce. Miały różny potencjał komiczny. Czy duet Piaskowski/Sulima proponuje coś więcej, czy stawia jakieś szczególne diagnozy? Nie, i nie wystarczył „pastiszowy” charakter spektaklu oraz przywoływanie popularności grup rekonstrukcyjnych. Które są niczym innym tylko infantylną zabawą, wykorzystującą tęsknotę za wymagowaną świetną przeszłością. Twórcy w gruncie rzeczy poszli za fabułą sztuki, licząc na dobrą formę aktorów Narodowego Starego Teatru. I ci aktorzy nie zawodzą, grając z werwą, zamasyście i dzia-

sko (jak to u Bałuckiego). Ciotka Lidii Dudy jest kobietą na skraju załamania nerwowego, szczerze kochającą brata, ale niemającą wobec niego złudzeń, wspomniana Katarzyna Krzanowska z powodzeniem wciela się w trzy różne role, Natalia Kaja Chmielewska zręcznie udaje naiwną panienkę, a Beata Paluch i Aldona Grochal to rozkoszny duet siostr na wydaniu. Krzysztof Stawowy brawurowo gra oddaną służącą, Wilski Łukasza Stawarczyka pokazuje lekko ironiczny dystans, a Michał Majnicz ma świetnie wymyśloną rolę (szkoda tylko, że na jednej strunie przez cały spektakl). Niestety gra aktorska (całego występującego zespołu) nie wystarczyła, żeby zabawić widzów. Aktorzy robili, co mogli, lecz nie oparłam się wrażeniu, że bawią się lepiej niż oglądająca ich publiczność. Bo wiem spektakl, co tu dużo mówić, jest po prostu nużący. Brakuje dramaturgicznego napięcia, akcja podzielona na szereg etiud i gagów ciągnie się nielitościwie przez trzy godziny. Na nic nie zdadzą się przygotowane atrakcje: bieganie między muchomorami, wznoszenie toastów, krewka gra w karty, awantury małżeńskie, podchody miłosne, rozgrywki polityczne, genderowe sztuczki i końcowy Moniuszko. Początkowe zainteresowanie przeradza się we wzruszenie ramion, ukradkowe spojrzenia na zegarek, w rejteradę niektórych widzów w trakcie przerwy.

Sen o Polsce dla śniącego chłopca jest koszmarem. W rzeczywistości to nie koszmara, tylko bezbrzeżna nuda. Co chyba na jedno wychodzi. ■

1 = B. Anderson, *Wspólnoty wyobrażone. Rozważania o źródłach i rozprzestrzenianiu się nacjonalizmu*, tłum. S. Amsterdamski, Kraków 1997, s. 19.

2 = Cyt. za: T. Weiss, *Wstęp*, [w:] M. Bałucki, *Grube ryby. Dom otwarty*, Wrocław 1981, s. LXV.